WIOSKA BOCIANÓW

NIEDALEKO Mrągowa, z daleka od szlaków komunikacyjnych, leży bardzo ciekawa wioska Polkajny, którą upodobały sobie bociany. „Bocianowo" — jak nazywają w okolicy tę wieś — jest chyba największą kolonią tych ptaków w Polsce. Na szesnaście gospodarstw przypada aż 19 bocianich gniazd.

O bocianiej wiosce piszemy dziś na str. 8.

świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

Nr 59 (1633) Warszawa, wtorek, 25 lipca 1967 r. Cena 50 gr

PIĘCIOKROTNY MILIONER POWIETRZNY

KAPITAN powietrznego statku, Ryszard Dąbrowski, jako pierwszy pilot w blisko 39-letniej historii Polskich Linii Lotniczych LOT osiągnął 5 milionów kilometrów spędzonych za sterami samolotów komunikacyjnych (14 tysięcy godzin w powietrzu). Kapitan Dąbrowski zetknął się z lotnictwem już w 1936 roku, kończąc kurs szybowcowy w Ustianowej, a następnie wojskową szkołę pilotażu w Krośnie. W roku 1939 latał już na bombowcach typu „Karaś".

Po wojnie, w roku 1945 wstąpił do PLL LOT i po przeszkoleniu mianowany został w 1946 r. kapitanem statku powietrznego. Od 15 lat jest instruktorem. Od 1960 roku lata jako kapitan na samolotach turbo-śmigłowych IŁ-18. Właśnie w locie z Kairu do Warszawy, w dniu 7 lipca, przekroczył już 5.006.000 km.

Na zdjęciu kapitan R. Dąbrowski za sterami samolotu, który pilotował z Kairu w dniu 7 lipca.

Foto CAF

Pamiętamy „AMANCI"

W OBOZIE 16 i 29 Poznańskich Drużyn Harcerskich przed namiotem każdego zastępu można zobaczyć coś osobliwego, ale najwięcej osobliwości zgromadził zastęp „Amantów". Przed wejściem do namiotu wisi mały dzwoneczek i do środka można wejść tylko po trzykrotnym pociągnięciu za sznurek; proporczyk zastępu jest wciągany na maszt przy pomocy koła rowerowego i transmisyjnego sznura. W namiocie jest lustro, budzik, karbidowa lampa, a nawet zupełnie dobrze grający patefon. Jak na „Amantów" przystało, chłopcy mają też miniaturowe żelazko z XVIII wieku.

„Amanci" popularni są na obozie, bo mają zawsze dużo dobrych pomysłów. Kilka dni temu zorganizowali zwiad pod hasłem „Historia i dzień dzisiejszy okolicznych wsi". Materiału zebrano sporo z Jeziorek, Kaczorów, Brzostowa...

Janusz Mielczarek z dwoma kolegami udali się też do wsi Grabowno. Odnaleźli tu dom z tablicą pamiątkową, głoszącą, że w domu tym mieszkał przez 8 lat Michał Drzymała. Żyjący wnuk Michała pan Władysław, twierdzi, że dom przetrwał bez zmian od czasów dziadka. Chłopcy wszystko zapisali o przygodach i dziejach rodu Drzymałów.

W oparciu o wywiady zorganizowano nawet ognisko.

Tekst i zdjęcia: STEFAN KOJŁO

W czasie wolnym od zajęć zastęp „Amantów" raczy cały obóz muzyką swego patefonu.

Ile mrówek jest w mrowisku tyle z czarnych jagód zysku.

— Wakacyjny telefon?...
— Słucham.
— Może pan się będzie ze mnie śmiał, ale ja spędzam wakacje z książką i chciałbym się dowiedzieć, jaką lekturę poleca pan specjalnie?
— Co cię pasjonuje?
— Podróże!
— Więc przeczytaj Arkadego Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą". Polecam też książkę z serii Naokoło Świata — Papuasi — Tony Saulniera, na stronicach której możesz odbyć wielką podróż do dżungli Nowej Gwinei. Mówię ci, przygoda goni przygodę! Wyszła też nowa pozycja A. Szklarskiego „Tomek u źródeł Amazonki" i Bolesława Mrówczyńskiego „Błękitny Trop".
— A z pozycji wojennych?...
— „Działa Navarony" Alistaira Mac Leana. Książkę wydały „Iskry". Szybko pędź do księgarni, bo lektura jest wprost sensacyjna i szybko zniknie z półek.

SPECJALNY WAKACYJNY TELEFON
28-77-21

— Bardzo dziękuję za radę. Do widzenia.

★

— Halo? Wyszły jakieś nowe „Złote Błyskawice"?
— Oczywiście! W kioskach „Ruchu" powinieneś znaleźć: „Złote Runo", „Próbę dowódcy", „Kiermasz zabaw" oraz „Operację OT 67".

★

Jaki napój najbardziej pan zaleca na gorące dni?
— Gorącą, gorzką herbatę!

★

— Proszę pana, kto może łowić ryby?
— Ten, kto ukończył 14 lat i ma kartę wędkarską, którą można nabyć w Okręgowych Związkach Wędkarskich, za 37 zł. Rzecz jasna, żeby otrzymać kartę, trzeba też zdać egzamin z przepisów wędkarskich. Dokładnych informacji w tej sprawie udzielają Okręgowe Związki Wędkarskie, znajdujące się w każdym mieście powiatowym. Ci, którzy nie ukończyli 14 lat, mogą łowić ryby tylko w obecności osób dorosłych.

Dyżur pełnił i rad udzielał red. ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Do szkoły PRZEZ GRANICĘ

Wąskie, rynnowe jeziora tną ziemię, oddzielają lasy od pól, wioski od ugorów, łączą się w zawiły wodny labirynt, spajający cały krajobraz. Do Złotowa przyjeżdżam autobusem od strony pełnego turystów Jastrowia. Przejeżdżamy przez Gwdę. Trzęsie się drewniany most kolejowy. Sto metrów na prawo wisi w powietrzu wysadzony wielki most kolejowy. Tę pamiątkę zostawili po sobie szybko wycofujący się Niemcy.

•

— Niech się pan nie dziwi, że mówię trochę chaotycznie. Historia naszej rodziny, naszej wsi trudna jest dziś do opowiedzenia. To już pięćdziesiąt lat... Nie wszystko dobrze pamiętam. Niektóre obrazy widzę tak dokładnie, jakbym miał przed sobą doskonałą fotografię, potrafię opowiedzieć każdy szczegół, ale niektóre fakty zatarły się. Czas, pamięć... Mówiłem, że to już przecież pięćdziesiąt lat...

•

...Czekaliśmy na Polskę. W roku 1917 wiedzieliśmy, że to już niedługo potrwa, że wreszcie skończy się pruski zabór i wlaczą naszą ziemię do Polski. Postanowiliśmy przyjść z pomocą polskim władzom.

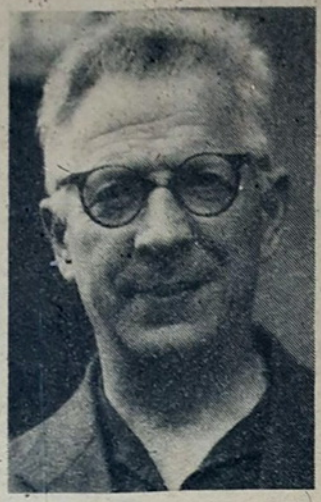

Mój rozmówca — pan Leon Horst

...Nasza rodzina wywodziła się z Siodów. Nasz pradziad Sioda był w Zakrzewie wójtem, sędzią rozjemczym i naczelnikiem straży pożarnej. Córka Siody wyszła za Horsta. August Horst — nasz dziadek — wrasta w polską rodzinę. Rodzi mu się syn Antoni — nasz ojciec, a potem my — Leon, Józef, Stanisław, Ignacy, Marian, Antoni, Edmund, Tadeusz, Stefania, Gertruda, Czesław, Ładna rodzinka. Wiele polskich rodzin — to się dziś będzie wydawało śmieszne — miało tyle dzieci. Chodziło o to, żeby we wsi naszych było jak najwięcej. Polacy chcieli, by ich dzieci mówiły ojczystym językiem. Prowadziłem nie tylko lekcje. W szkole działało kółko artystyczne, teatr, zespół sportowy. W roku 1934, w Zakrzewie, czynem społecznym budujemy Dom Polski. Dom stoi do dziś.

Na starych pożółkłych fotografiach widzę fundamenty, potem mury, dach. Na jednym ze zdjęć stoi pan Leon Horst. Miał wówczas 25 lat.

„Co to za mundur?"

— pyta brata. — „Przysposobienie wojskowe" — odpowiedział harcerz.

Wojnę wyczuwaliśmy wszyscy na długo przed jej wybuchem. Na niewielkim odcinku granicy z Polską na własne oczy widziałem pięćset solidnie przygotowanych schronów. Wiedzieliśmy, że Niemcy szykują się do skoku. Potajemnie robiliśmy składki na broń. 25 sierpnia aresztują wszystkich polskich nauczycieli z powiatu. Siedzimy w złotowskim więzieniu. Mnie jakoś udaje się. Zostaje drwalem. Innych wywożą do obozów. 31 sierpnia, w przeddzień wybuchu wojny, wieczorem, niemieccy żołnierze spacerują od domu do domu i z uśmiechem mówią:

„Nie zamykajcie okien..."

...mogą w nocy wylecieć." Wiadomo było, co mogła znaczyć ta wiadomość. 1 września z radia dowiadujemy się o napaści. Na niebie widzimy łuny. Mój brat Edmund przedziera się do Polski, chce walczyć w polskim wojsku.

*

Wysiedlona z Zakrzewa rodzina żyje w Berlinie, zbita wraz ze wszystkimi polskimi rodzinami w jednym ogromnym domu. Hitlerowcy mają wszystkich pod ręką. Tu zastaje nas maj 1945 roku. Koniec wojny. Z niemieckich obozów, z oflagów, stalagów wychodzą Polacy.

Wracam

— 6 stycznia 1946 roku otwieram w Osowcu polską szkołę. Szkoła powstaje dosłownie z niczego — sam kituję okna, sam zbijam stoły i ustawiam ławki. W 1949 roku wracam do rodzinnego Zakrzewa. W Domu Polskim, tym zbudowanym jeszcze przed wojną, organizuję zespół pieśni i tańca. W 1957 roku obchodzimy uroczyście 30-lecie polskiej szkoły w Zakrzewie.

•

...Miałem 10 lat, kiedy przeszedłem przez granicę, żeby uczyć się w polskiej szkole. To już — proszę pana — 50 lat temu...

Siedzimy w dużym pokoju. Pan Leon Horst, dziś zastępca powiatowego inspektora oświaty w Złotowie, ten sam, który kitował okna w Osowcu, ten sam, który przejeżdżał przez granicę po polskie mapy, pokazuje mi książki. Opowiada, jak udało mu się oszukać Niemców i wykraść z zaplombowanej bibliotek najbardziej cenne egzemplarze, jak zakopane w ziemi przeczekały wojnę. Oglądam zdjęcia braci. Wielu z nich zginęło. Antoni — ten który przekradł się przez granicę do polskiej szkoły — dziś jest profesorem medycyny w Poznaniu. Jeden z braci gospodaruje w rodzinnym Zakrzewie.

Pan Horst jeździ teraz często z odczytami. W najbliższym czasie będzie miał odczyt na otwarciu biblioteki w Wyrzyskach. Niedaleko Nakła nad Notecią, do którego przybył jako 10-letni chłopiec na naukę.

WIESŁAW HUDON

Zdjęcie: autora

— Mój brat Józef prowadził w Zakrzewie drużynę i miał pod swoją komendą wszystkich harcerzy z powiatu złotowskiego. Było ich prawie 300. Wyjeżdżali na wycieczki, obozy. Brat nosił zawsze harcerski mundur. Kiedyś spotkał go policjant:

...To był rok 1933. Na mocy międzynarodowego układu Złotów i Ziemia Złotowska należą do Niemiec. Polacy mieszkający na tych ziemiach nie poddają się jednak. Nazwy większości wsi pozostają polskie, tak jak przeważająca część ludności mieszkającej w tych wsiach. Hitler nie daje oczywiście za wygraną. Przebiegłymi pociągnięciami stara się Ziemię Złotowską uczynić ziemią niemiecką.

...Był więc rok 1933. Hitler proponuje mieszkańcom wsi Zakrzewo transakcję. Za zgodę na zmianę nazwy wsi jej mieszkańcy mają otrzymać na własność kawał młodego lasu. Zakrzewo ma się nazywać „Buschdorf". Zakrzewiacy nie zgadzają się na ten „handel", ale mimo to „zarządzeniem specjalnym" wieś przybiera niemiecką nazwę. Ale Zakrzewo—Buschdorf pozostaje nadal stolicą Ziemi Złotowskiej, którą nazywano w Niemczech „Małą Polską". Wieś miała więc aż trzy nazwy — używaną przez Polaków starą nazwę „Zakrzewo", figurującą w urzędowym rejestrze nazwę „Buschdorf", a wszyscy Polacy mieszkający na zajmowanych przez Niemców polskich terenach nazywali ją po prostu „Małą Warszawą"...

Wybrano sołtysów i wójtów. Powiewały już polskie sztandary. Ale Niemcy coś zwąchali. Zorganizowali korpus ochrony granicy, starali się przeszkodzić naszym przygotowaniom. Polska uzyskała niepodległość, ale granice wytyczano powoli. W roku 1919 — po zakończeniu I Wojny Światowej — zapadła w Wersalu decyzja: Ziemia Złotowska zostaje włączona do Niemiec. Pozostajemy nadal pod obcymi rządami. Zaczęto mówić: „Idziemy do kraju". „Zostawiamy tu wszystko i przenosimy się do Polski". Ale mówiono też inaczej: „Jak to, ziemię własną zostawicie Niemcom?" „To polska ziemia i trzeba na niej zostać". My zostaliśmy. Pilnowano nas, żebyśmy nie mówili po polsku. Pięciu mundurowych Niemców specjalnie w tym celu siedziało w Zakrzewie.

*

...Było nas w rodzinie dwunastu i wszystkich chciał ojciec wychować po polsku. Przeszedł przez granicę i w polskim banku w Łobrzenicy złożył cały swój majątek — 10.000 marek. Za te pieniądze mieliśmy się kształcić w polskich szkołach. Po kolei szliśmy więc do Polski. Ja pierwszy odwiedziłem we wsi Rudne krewnego, który miał...

...pole na granicy

Pół tego pola było w Polsce, pół w Niemczech. Oraliśmy ziemię, a kiedy pług znalazł się na polskiej ziemi i koń zawrócił, ja zostałem. Po mnie przychodzą do Polski Józef, Stanisław, Antoni. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, uczymy się w różnych miastach: w Chełmnie, Chojnicach, dwóch z nas — w Nakle nad Notecią. W 1928 roku kończę polskie gimnazjum. Zaczynam studiować medycynę w Poznaniu, a potem jadę na studia do Berlina. Profesor nie chce mnie jednak widzieć z polską maturą. Wracam do swoich. Tymczasem w Niemczech powstają polskie szkoły. To wielki sukces Związku Polaków w Niemczech. Potrzeba wielu nauczycieli...

ROZPOCZYNAMY

WIELKIE HOLOWANIE

Piąta korespondencja WIESŁAWY MROCZEK nadesłana z Les Ascoumins*).

3 maja

MARYNARZ Z PRO, to koń roboczy zamieniony w człowieka — powiedział jeszcze w Gdyni pan Hejza, doświadczony nurek, marynarz, a obecnie magazynier sprzętu nurkowego. Sama pani zobaczy...

— Widzę. Stoimy w Quibec czwarty dzień. Stwierdzam, że jeżeli marynarze zwiedzają porty, to na pewno nie są nimi ci z holowników oceanicznych. Nikt poza mną nie spaceruje po mieście, bo i kiedy. Kapitan zaganiany. Z jego salonu drzwiami i oknami buchają kłęby dymu z papierosów. Ciągle tam pełno różnych komisji. Przychodzą, radzą. Czasem wychodzą bardzo źli. Wraki mieliśmy przejąć przygotowane do rejsu. Zabalastowano „KEYSHEY"** wodą i okazało się, że tanki są nieszczelne. Woda hula nawet po maszynowni. Nasz „Stary" zna się na sztuce holowania.

— Trzeba balastować piaskiem — zarządza.

Teraz na „KEYSHEY" pracują pompy. Dla armatora zagranicznego dodatkowy koszt. Ale przed nami 3.129 mil morskich. Tyle akurat dzieli nas od Abra Bilbao, czyli Zatoki Bilbao w północnej Hiszpanii, dokąd to m/s „Jantar" ma holować wraki, zarabiając dla kraju dewizy.

Wraki są dwa: „ALGOSOO"*** i „KEYSHEY", pierwszy z nich liczy sobie 66 lat, drugi 39. Ale właśnie „KEYSHEY", chociaż młodszy, wygląda jak rudera.

— Kaktus mi tu wyrośnie — pokazuje dłoń pierwszy oficer, pan Janusz Zagrodzki — jak go dociągniemy do tej Hiszpanii...

Z panem Zagrodzkim, a raczej pod jego opieką, zwiedzam oba wraki.

Wnętrze „KEYSHE" wygląda jak po katakliźmie. Pokręcone, pordzewiałe żelastwo, pozrywane przewody. Pan Zagrodzki przy świeca latarką i narzeka.

4 maja

NA „ALGOSOO" ruch. Bosman wydaje rozkazy. Tony łańcuchów, stalowych holi, sztropów, które przez parę dni zalegały rufę „Jantara", sklarowane leżą na wraku. „Sklarowane" — to znaczy, że marynarze przeciągnęli te stalowe hole, z których każdy ma ponad 500 metrów długości, a których metr bieżący waży 7 kilogramów. Przeciągnęli, ułożyli w specjalny sposób, w potężne zwoje. Operacje te są ciężkie i niebezpieczne.

Robię krok w kierunku lewej burty. Pcham nogę w jedyne wolne miejsce na pokładzie, między linę i łańcuch. Słuszę huk. Jakiś krzyk i czuję, że coś wali mnie po nodze! Odskakuję. Boję się spojrzeć w dół... Robię krok do tyłu. Staję normalnie. A więc mam stopę... na właściwym miejscu...

— Nic mi się nie stało! — drę się do bosmana, który stoi kilka metrów dalej blady i jakiś taki przykurczony.

— Niech pani tam nie chodzi... — bosman długo dobiera słowa, nim je wypowiedział.

To jest właśnie hol. Ponad 500 metrów tej stalowej liny o przekroju 50 milimetrów marynarze musieli przetransportować z ładowni „Jantara" na pokład „ALGOSSO".
Foto autorki

— Może już dość tego chodzenia. Połamie sobie pani nogi i będę musiał dźwigać...

— Mało ważę — pocieszam „Pierwszego" — da pan radę...

Mówiąc szczerze, wolałabym być transportowana. Na myśl o powrocie mrówki mi łażą po plecach. Z wraka na nabrzeże przejść trzeba po wąskiej, chybotliwej desce. Wcale mnie to nie zachwyca.

— Kiedy odwiąże się łańcuch zwany stoperem i zwolniony hol leci za burtę, żadna siła nie może go powstrzymać — przestrzegał kapitan, widząc, że wybieram się na „ALGOSOO" z aparatem — niech się pani pilnuje bosmana.

Więc się pilnuję. Robię zdjęcia. W końcu widzę, że przeszkadzam.

— Zmordowani ludzie urabiają sobie ręce po łokcie, a ja z aparacikiem... Wracam na „Jantara" — postanawiam. Szybko przejdę na „skróty".

Zato „Jantarek" Rysio sobie ulżył. — Gdzie leziesz, babo! — wygraża mi z dziobu „KEYSHEY".

Tymczasem lina skacząc jak żywa mknie za burtę i ciągnie za sobą łańcuch, który grzechocze po pokładzie.

— Ale bym narobiła... — Nie chodzi mi o mnie. Mam wyrzuty sumienia, bosman się zdenerwował, i, co tu dużo mówić, jak „Stary" się dowie, na pewno nie pochwali...

5 maja

ZBLIŻA SIĘ GODZINA 14.00. Na „Jantarze" są już dwaj piloci, są i holowniki portowe. Piloci na zmianę będą prowadzić konwój.

Rzeką Świętego Wawrzyńca mamy do przebycia 126 mil morskich. Taka jest długość trasy z Quibec do Les Escoumins, gdzie zejdą piloci.

Z odbiciem od nabrzeża czekamy na godzinę 14.00. Właśnie wtedy skończy się odpływ i nastąpi bezruch wody. Bo prądy pływowe przekraczają tu szybkość 3 mil na godzinę.

Na „ALGOSOO" zostają ludzie, w gwarze morskiej zwani rannersami, którzy na tym wraku muszą przetrwać Atlantyk. Jest ich czterech: dowódca grupy, drugi oficer — Julian Moskal, motorzysta — Henryk Rodziewicz, starszy marynarz — Kazimierz Siemiankiewicz i starszy marynarz — Wacław Świerczyński, zwany „Kajtkiem", który na wraku ma pełnić funkcję kucharza.

Punktualnie o godzinie 14.00 „Jantar" odcumowuje od burty „ALGOSOO" i powoli naprężа hol.

— Rzucić wszystkie cumy na „ALGOSOO". — Pada komenda.

„ALGOSOO" posłusznie odbija od nabrzeża i znów komenda. — Rzucić wszystkie cumy na „KEYSHEY".

Rzeka w tym miejscu ma pół mili szerokości. Nasza kawalkada, dopóki nie wyjdziemy na jej środek, zajmuje przestrzeń 300 metrów, licząc od dziobu „Jantara" do rufy „KEYSHEY". Na środku rzeki załoga z „ALGOSOO" przystępuje do luzowania holu pośredniego, czyli tego, który łączy oba wraki. Wtedy to wylatująca lina zahacza o poler na rufie i wyrywa go.

Dodatkowy kłopot. Dodatkowa ciężka praca. Trzeba na „ALGOSOO" posłać motorówką kilku marynarzy, by pomogli rannersom obłożyć linę holowniczą dookoła nadbudówki rufowej...

Tak się zaczyna nasze holowanie, które trwać ma czternaście dni...

*) Czyt. Lereskume.
**) „ Kejsej.
***) „ Algosu.

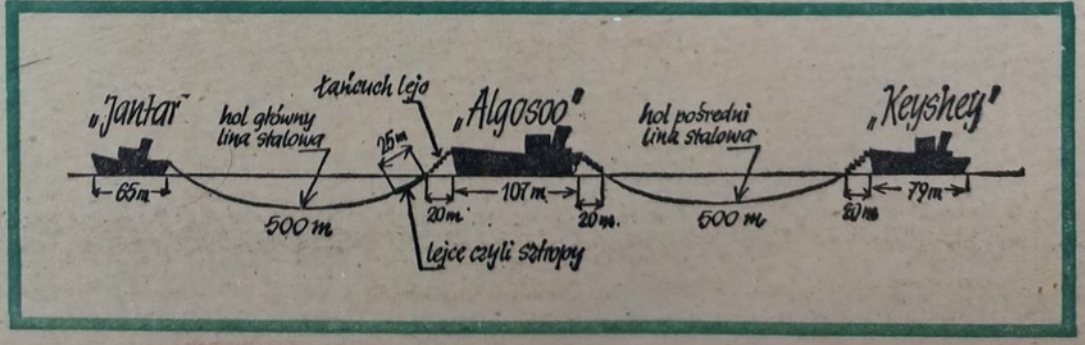

Jeden na dwóch, czyli pojedynek napastnika (w białej koszulce) z obrońcą i bramkarzem.

Najlepsi piłkarz

W CZASACH, kiedy wasi ojcowie zaczynali interesować się piłką i chodzić na mecze, rola obrońców w drużynie była całkiem inna niż obecnie. Kiedyś obrońca musiał być wysoki, silny fizycznie, a nawet ciężki (aby trudniej go było ruszyć z miejsca) i musiał dysponować dalekim wykopem. Jeżeli któryś z zawodników w zespole potrafił kopnąć piłkę na odległość — 60—80 metrów, to już wystarczyło, aby mógł grać na pozycji obrońcy, a jeśli jeszcze był na tyle sprytny, by nie dać się minąć napastnikowi przeciwnika, stawał się bardzo dobrym kandydatem do koszulki z numerem 2, 3 lub 4. Rola obrońców sprowadzała się wówczas, prawie wyłącznie, do przeszkadzania napastnikom w oddawaniu strzałów i do jak najszybszego przekazywania piłki, jak najdalej od własnej bramki.

Pamiętam z tamtych lat, jak dużą popularnością cieszyły się organizowane przez niektóre kluby ligowe doroczne konkursy na długość wykopu piłki spod własnej bramki. Na stadionie Legii wygrywał je przeważnie prawy obrońca tego klubu — Henryk Martyna, zawodnik o wadze dochodzącej 90 kilogramów, który „przyłożywszy" się trochę do uderzenia, potrafił jednym kopnięciem przenieść piłkę z własnego pola karnego pod bramkę przeciwną. Żaden z zawodników warszawskich nie mógł mu pod tym względem dorównać.

CZASY SIĘ ZMIENIŁY i sposób gry w piłkę nożną również. Nie przesadzę wcale, jeśli powiem, że dziś typ obrońcy sprzed 40 lat nie ma czego szukać na boisku! Obecna gra jest o wiele szybsza, wymagająca od wszystkich zawodników dużej ruchliwości, zwinności i elastyczności. Dziś obrońca musi być tak samo szybki jak napastnik — aby mu sprostać pod względem biegowym, tak samo skoczny, tak samo zwinny i sprytny — aby nie przegrywać pojedynków o piłkę. Obecnie mianem dobrego obrońcy określamy takiego zawodnika z linii defensywnej, który walorami fizycznymi i technicznymi nie ustępuje napastnikom ani trochę, a są drużyny o wysokiej marce światowej, w których od obrońców wymaga się więcej, niż od napastników. Wychodzi się w tych zespołach z założenia, że przy napastnikach o niewysokiej klasie w najgorszym wypadku nie strzeli się bramki, natomiast przy słabszej obronie można stracić bramkę i mecz zostanie przegrany. A między remisem 0:0 i porażką, chociażby 0:1, jest przecież kolosalna różnica!

„Beton" nie wystarcza

WYZNAJĄCY TĘ ZASADĘ trenerzy i kierownicy drużyn zawodowych na zachodzie Europy dali początek nowemu systemowi gry, polegającemu przede wszystkim na zabezpieczeniu własnej bramki, na posiadaniu nie tylko dobrych zawodników w defensywie, ale nawet na stworzeniu pewnej przewagi liczebnej własnych graczy na przedpolu swojej bramki.

Zrodzony we Włoszech system gry defensywnej znalazł bardzo dobrych naśladowców w Południowej Ameryce i prawdopodobnie zapanowałby na całym świecie, gdyby nie to, że ludziom znudziły się wreszcie wyniki 0:0 i co sprytniejsi zaczęli wymyślać odpowiednie sposoby na kruszenie „betonu" pod bramką przeciwnika.

Nowa rola obrony

INTERESUJĄCY JEST FAKT, że jeden z tych sposobów wynaleziony został w klubie, który doprowadził do perfekcji grę... defensywną. Pan Helenio Herrerra, trener słynnego Interu Mediolan, najpierw udoskonalił grę obronną w swoim zespole, a kiedy przekonał się, że przeciwnicy łamią sobie coraz bardziej zęby przy rozgrywaniu jego muru obronnego, zaczął myśleć o tym, jak Inter ma atakować w wypadku, kiedy przeciwnik zastosuje w defensywie to samo, co on. I doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na zaskoczenie przeciwnika będzie włączenie do akcji ofensywnych bocznych obrońców.

Droga od pomysłu do realizacji nie była w Interze długa, ponieważ szczęśliwym trafem znalazł się w tej drużynie zawodnik wszechstronnie uzdolniony, o nazwisku Facchetti. Wysoki, zwinny, szybki i bardzo dynamicznie grający Facchetti szybko pojął intencje swego trenera i w ciągu 2—3 lat stał się prototypem nowoczesnego obrońcy, w pełni wartościowego, tak przy spełnianiu zadań defensywnych, jak i ofensywnych.

Na czym polegają te żądania ofensywne? Oto są w grze momenty, kiedy napastnicy Interu, dokładnie pokryci przez obrońców przeciwnika, nie mogą sobie wyrobić pozycji do oddania skutecznego strzału. Wycofać się z przedpola przeciwnika im nie wolno, oczekiwać pomocy od

partnerów ze środka obrony też nie mogą, bo to groziłoby utratą gola w wypadku kontrataku przeciwnika. Natomiast Facchetti, grający na bocznej obronie, potrafi jak rzadko kto pójść skrycie, jak lis, za własnym atakiem i znaleźć się właśnie tam, gdzie obecność dodatkowego napastnika jest potrzebna.

Obrońca napastnikiem

MOŻE OGLĄDALIŚCIE w telewizji mecz CSKA Sofia — Inter Mediolan, w półfinale turnieju o Puchar Europy, rozegrany przed dwoma miesiącami w Sofii. Jeżeli tak, to pamiętacie, kto i jak zdobył wówczas gola dla Interu: Facchetti, który podczas rozgrywa-

Obrońca Celticu Gemmel przy efektownej główce

dalszego rozwoju futbolu: zanikanie różnic między tradycjami, obrońcami i napastnikami, a konkretnie łączenie ich, do niedawna oddzielnych, zadań w jedną całość przez kształtowanie walorów napastników u... obrońców. Czyli — przyszłość stoi przed tymi drużynami, które będą miały obrońców, mogących być w każdej chwili... napastnikami.

Gemmel z Glasgow strzela gole

TRENER HELENIO HERRERRA, nie przypuszczał nawet, że znajdzie się ktoś, kto szybciej niż on sam potrafi wcielić jego zamiary w życie.

I znowu proszę przypomnieć sobie jeden z meczów, transmitowany niedawno przez telewizję: finałowy mecz o Puchar Europy między Interem i Celticem Glasgow, w Lizbonie.

Mało znany dotychczas zespół szkocki pokonał Inter 2:1 i zdobył niespodziewanie Puchar Europy. Inter wyglądał przy Celticu — delikatnie mówiąc — bardzo mizernie. Jego osławiony „beton" pod własną bramką, musiał wreszcie pęknąć pod naporem stałych ataków Celticu, w którym na pierwszy plan wybijali się obrońcy w roli... napastników. A jaką bramkę zdobył lewy obrońca Gemmel? Niewielu napastników potrafi tak celnie i silnie strzelić w pełnym biegu!

Czy słyszeliście coś o Gemmelu przed finałowym meczem o Puchar Europy? Chyba nie, bo ja sam, mimo że znam setki dobrych piłkarzy, niewiele wiedziałem o nim oraz o jego sławnym obecnie zespole.

Gemmel ma 23 lata, a jego wielka kariera rozpoczęła się przed rokiem, kiedy menażer i trener Celticu doszedł do wniosku, że Gemmela — przerzucanego poprzednio z pomocy do ataku, a stąd znowu do defensywy — warto by usadowić na stałe na lewej obronie.

Dobra i bardzo koleżeńska atmosfera w Celticu pomogła Gemmelowi w należytym wykorzystaniu wszechstronnych umiejętności, a wytrwała praca, pod okiem znakomitego trenera Jacka Steina, tylko przyspieszyła rozwój jego talentu.

Celtic bowiem — to dość dziwna drużyna, której przed dwoma laty nikt nie wróżył dzisiejszego sukcesu, jakiego nie osiągnęła dotąd żadna jedenastka. Co to za sukces? Po prostu wszystkie pierwsze miejsca w tych konkurencjach, w których Celtic brał w b. sezonie udział: tytuł mistrza Szkocji, zdobycie Pucharu Szkocji, dalej — Pucharu Ligi Szkockiej (odrębny turniej) i wreszcie zdobycie Pucharu Europy, po wspaniałym zwycięstwie nad doskonałym dotychczas Interem!

W 65 meczach 201 bramek

CELTIC ROZEGRAŁ, od września 1966 do końca maja 1967 r., ogółem 65 meczów, czyli przeciętnie 2 mecze w tygodniu. Z 65 meczów tylko 4 przegrał: towarzyski mecz z Dynamo Zagrzeb 0:1, 1 ćwierćfinał Pucharu Europy z Vojvodiną Nowy Sad 0:1 (zrewanżował się jej u siebie wygraną 2:0) i 2 mecze mistrzowskie w lidze szkockiej, oba z Duncee United 1:2 i 2:3. W tych 65 meczach Celtic strzelił 201 bramek, z czego prawie 1/10 zdobył... obrońca Gemmel, w tym ani jednej z karnego, lecz wszystkie z szybkich, zaskakujących akcji.

I jeszcze jedno godne jest podkreślenia u Gemmela: nie opuścił on ani jednego z tych 65 meczów. Możecie sobie wyobrazić, jak wielkiego wysiłku wymagało to od zawodnika, jak ciężko mu nieraz bywało, bo i drobne kontuzje czasem dokuczały i od czasu do czasu jego organizm aż prosił się o chociaż kilka dni odpoczynku.

Gemmel nie jest jednak jedynym nowoczesnym obrońcą w Celticu, jak Facchetti w Interze. Obok niego grają w defensywie Greig i McNeil; oni również wiedzą, co to znaczy umieć przejść w odpowiednim momencie z obrony do ataku i strzelić silnie na bramkę przeciwnika. Jednakże ci dwaj nie dorównują Gemmelowi w skuteczności, ponieważ mają 2 braki: za małą jeszcze szybkość indywidualną, aby znaleźć się znienacka w swojej linii napadu oraz nie tak celny strzał jak on, były napastnik!

Przyznam się, że gra Facchetti'ego i Gemmela imponuje mi do tego stopnia, iż stawiam ich w mojej ocenie absolutnie na czele wszystkich znanych mi dobrych obrońców ostatniego okresu. Mają wprawdzie Węgrzy swego doskonałego Matraia, Szwedzi — Bergmarka, Rosjanie — Szesterniewa i Daniłowa, Austriacy — Giechnera, Bułgarzy — Szalamanowa — wymieniam nazwiska bardziej znanych obrońców, ale żaden z nich nie dorównuje Facchetti'emu i Gemmelowi w nowoczesności gry.

I tak kończąc cykl o najlepszych piłkarzach ostatnich czasów, chciałbym przy sylwetkach nowoczesnych obrońców, Włocha Facchettiego i Szkota Gemmela, zwrócić uwagę natury ogólnej, dotyczącej rozwoju sposobów gry w piłkę nożną i jej przyszłości. Zawodnicy z innych pozycji: Pele, Eusebio, Jaszyn, czy Banks przejdą do historii jako najznakomitsi mistrzowie w strzelaniu bramek względnie w obronie najgroźniejszych strzałów, ale tylko w jednej lub drugiej dziedzinie. Facchetti i Gemmel natomiast stali się na naszych oczach prototypami czegoś nowego w piłce, pierwowzorami uniwersalnych ków, łączących w s kie walory, przyp niedawna piłkarzo formacji w drużynie

Jasne przeto się ka nożna pójdzie w przyszłości drogą wsk Facchetti'ego i Gem szkolenia i rozwijan na wszechstronnych, nych zawodników. święcić będą te dru w swoich jedenast miały jak najwięcej i Facchettich.

Foto: M. Szymkowski

Obrońca reprezentacji Włoch oraz Interu Mediolan (z prawej) podczas meczu Polska—Włochy na Stadionie ciolecia w Warszawie.

ze świata

nia kornera, znalazł się nagle pod bramką Bułgarów, tam, gdzie nie było nikogo z innych graczy, a gdzie przerzucona została piłka. I z trudnej pozycji Facchetti strzelił celnie niczym rasowy napastnik.

Napisał GRZEGORZ ALEKSANDROWICZ

Ten sam obrońca Interu zdobył jedyną bramkę, również w pierwszym meczu z CSKA Sofia, on też strzelił w podobny sposób dużo innych goli dla swej drużyny wielokrotnego mistrza Włoch i dwukrotnego zdobywcy Pucharu Europy. Facchetti strzelił wreszcie jednego gola i polskiej reprezentacji, podczas eliminacyjnego meczu o prawo udziału w turnieju olimpijskim 1964 r., w Tokio (w Poznaniu — Polska przegrała z Włochami — 0:1).

Od 5—6 lat nie ma takiej dorocznej klasyfikacji najlepszych piłkarzy Europy, w której Włoch Giacinto Facchetti nie figurowałby wśród najlepszych obrońców .I słusznie! Facchetti jest bowiem pierwszym zawodnikiem, który tak doskonale połączył w sobie walory znakomitego defensora z cechami groźnego napastnika i zdobywcy bramek. Jest on pierwszym piłkarzem, który własnym przykładem dał dowód, że nawet kładąc duży nacisk na zabezpieczenie własnej bramki, można równocześnie strzelać gole przeciwnikom. Facchetti wskazał wreszcie drogę

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Konikówka

S	T	H	K	R	M	C	E
C	A	T	E	A	J	Ż	W
Y	H	S	N	K	Z	I	S
P	Y	L	C	1	0	0	E

Z NAGRODAMI PZU

Ruchem konika szachowego obejdź wszystkie pola i odczytaj aktualne hasło.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji: Świat Młodych, Warszawa, ul. Mokotowska 24. Na karcie pocztowej lub kopercie należy umieścić dopisek: Konikówka PZU.

UWAGA! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

Dziś mamy do rozlosowania następujące nagrody ufundowane z funduszu prewencyjnego PZU w Warszawie: 1 BUDZIK, 3 KOMETKI, 2 KOMPASY, 10 KSIĄŻEK.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 49

POZIOMO: aparat, Ewa, abażur, Moza, runo, bryza, liga, WAT, Jawa, aga.

PIONOWO: amator, ataman, terrorysta, Padwa, ulica, obawa, aria.

Nagrody książkowe wylosowali: **Halina Bednarczyk** — Radzionków 3; **Jolanta Dąbska** — Kaszuby; **Anna Łuczaj** — Skolimów k. Warszawy; **Jacek Mirecki** — Dębina; **Grzegorz Mieloch** — Rydzyna; **Teresa Obstarczyk** — Oświęcim 3; **Henryka Piaszyńska** — Białystok; **Wawrzyniec Szulgit** — Rydułtowy; **Franciszek Woźniak** — Wadowice; **Wojciech Wójcik** — Warszawa 44.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 50

POZIOMO: kołyska, koronka, karawana, retorta, Sobótka, bank, kwarta, strata, korona, klatka, solo, koperta, lampart, Koluszki, Alabama, artysta.

PIONOWO: korek, latka, skrót, kat, arab, kask, ono, rabat, Nitra, agawa, wino, runo, akta, smok, rufa, tlok, kukła, rupia, norka, limit, trans, astma, sala, Olza, tom, akr.

Nagrody książkowe wylosowali: **Adam Chruściecki** — Gliwice; **Elżbieta Dzik** — Jasieniec; **Maria Je ska** — Szamotuły; **Joanna Mi** Zmigród; **Danuta Nabijacz** — białów; **Wojciech Niedzielski** — ziorna k. Warszawy; **Irena Oz** — Koło; **Ryszard Storożyński** — rek; **Wiesław Szulc** — Choroszcza; **Zdzisław Śliwiński** — Nowa

Kto wylosował nagrody PZ

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓ Z NR 52

PRZESTRZEGAJ ZASAD OST NOŚCI NA WYCIECZCE!

Nagrody wylosowali: **Budzik:** Alina Kowalczyk — watycze.

Piecak: Ryszard Kisielewski Skupowo.

Kocher turystyczny: Wald Tomczak — Świebodzice.

Kometka: Elżbieta Truszkowsk Wojcieszów.

Książki: Ewa Czarnota-Czarn Warszawa 45; Eugeniusz Fortun Gniew; Mieczysława Garncarsk Glinik Średni 2; Barbara Gruszi Wojnicz; Józef Kosowski PGR rolówka; Teresa Nowak — most; Marek Niedźwiedzki — dek; Krzysztof Staniszewski — lechów; Barbara Trzepałka — noglowy; Andrzej Woźniak — Przystajnia.

Gang z ulicy Brzeskiej

(12)

STANISŁAWA PLATÓWNA

ZBRAMY wychodzą Ślusarz i Orczyk. Są roześmiani, gadają głośno, wymachując rękami.

— Co was tak rozśmieszyło? — spytał Szef.

Zaczęli opowiadać jeden przez drugiego, pokładając się ze śmiechu. Chłopcy z sąsiedniej kamienicy złapali dwa koty, przywiązali im do ogonów puste blaszane puszki i wrzucili do betonowego zbiornika na śmieci, który akurat dziś został opróżniony.

— Mówię wam, co te kociska wyprawiały, można było skonać ze śmiechu — mówił Ślusarz, a Orczyk dodał:

— Najpierw latały w kółko po śmietniku, a potem, kiedy zmiarkowały, że nie mogą się wydostać, zaczęły skakać na siebie. Wreszcie te sznurki z puszkami poplątały się, a koty całkiem oszalały z tego brzęku i trzasku.

Gruchnął śmiech. Tylko Tomek stał milcząc.

— Nie bawi cię to? — spytał go Szef, uśmiechając się ironicznie.

— Nie — odparł szorstko Tomek.

— Masz za miękkie serce. Cóż to wielkiego — koty?

— Nie znoszę bezmyślnego dręczenia zwierząt. To podłość. Oni są odważni, bo koty są małe i bezbronne — uniósł się Tomek. — Kto potrafi dręczyć kota, ten nie cofnie się przed skrzywdzeniem człowieka.

— O la, la! — zdziwił się Szef niby to serio. — A twoja dewiza życiowa to bronić słabych, pomagać im i ochraniać rycerskim ramieniem, co?

— Tak — powiedział Tomek już mniej pewnym głosem.

Nie jest łatwo bronić swoich przekonań wobec gromady drwiąco uśmiechniętych chłopców.

— Daleko z tym nie zajedziesz.

— Dlaczego? — spytał Tomek.

— Dlatego, że dawno minęły czasy błędnych rycerzy, dziś każdy musi troszczyć się o siebie. Rozejrzyj się dookoła, żyjesz przecież na świecie. Pokaż mi takiego, który rezygnuje z własnej korzyści, z własnego bezpieczeństwa dla dobra innego. Niedawno pijany awanturnik uderzył kolegę na oczach kilkudziesięciu osób stojących w kolejce do kina. Było tam ze dwudziestu silnych mężczyzn, mogli z łatwością obezwładnić pijaka. Myślisz, że który się ruszył? Każdy dba tylko o własną skórę.

— Ale czy tak powinno być? Czy tak jest dobrze? — nie ustępował Tomek.

— Guzik mnie obchodzi, czy powinno być tak, czy inaczej — odparł szorstko Szef. — Nie mam czasu na takie filozofie... Żyję na świecie i muszę poddać się jego prawom.

— Jak to, więc według ciebie takie są prawa naszego świata? — przeraził się Tomek.

— Oczywiście — odparł Szef i wyłożył Tomkowi swoje poglądy na życie, które kiedyś zjednały mu uznanie „kozaków".

Ale Tomek nie poddał się łatwo.

— Nie masz racji! — krzyknął wysłuchawszy przemówienia Szefa. — Gdyby tak było, ludzie nie różniliby się niczym od zwierząt. Tylko zwierzęta kierują się instynktem, podlegają prawom natury. Ale nie człowiek. Człowiek musi w coś wierzyć, coś kochać...

— Bzdura! — parsknął śmiechem Szef. — Możesz mi powiedzieć, w co wierzy ojciec Miśka? Powiem ci — w pełny brzuch i w pełną flaszkę. Reszta go nie obchodzi. A twój stary? Może powiesz, że ma jakie ideały, jakieś wzniosłe cele?

— Przestań; — krzyknął Tomek. — Co mój ojciec zrobił i dlaczego — to jego sprawa. Ale dawniej... Miał szesnacie lat, kiedy wybuchło powstanie warszawskie. I walczył. Przenosił amunicję, meldunki, pod koniec nawet strzelał do Niemców. Uciekł z transportu, ukrywał się. Myślisz, że zrobił to dla forsy albo dlatego, że ktoś mu kazał? Wcale nie. To był jego obowiązek, bo był Polakiem, a Polska była w niewoli. I zaraz poszedł do pracy. Uprzątał gruzy, potem zgłosił się do Elektrowni, pracował przy uruchamianiu oświetlenia ulicznego. Dopiero po roku skierowano go do szkoły. Ojciec mi nieraz opowiadał o tych czasach. Wszyscy pracowali prawie za darmo, za przydział żywności, nie chodziło im o forsę, ale o to, żeby Wrocław stał się jak najprędzej normalnym miastem, żeby można było w nim żyć spokojnie. Albo w Warszawie... Warszawiacy gołymi rękami rozebrali barykady, uprzątali gruzy. Może powiesz, że robili to dla forsy, dla interesu?.

— Mówisz o wojnie i o pierwszych latach powojennych — powiedział Szef — wtedy żyło się inaczej. A zresztą, czy wszyscy pracowali za darmo, dla idei, za kilo cukru i bochenek chleba? Znam takich, co porobili niezłe interesy, szabrowali aż miło, prawda Misiek?

— Elegancki ma trochę racji — zaczął z namysłem Lampa. — Mój ojciec też przyjechał do Wrocławia zaraz w 1945 roku. I opowiadał, jak się wtedy żyło. Tata złapał zapalenie płuc, bo chodził z grypą do pracy, żeby na czas uruchomić pierwszy oddział fabryki wagonów. Ludzie byli wtedy jacyś inni, nie lecieli na forsę, pracowali za grosze...

— Właśnie — ożywił się Zaskroniec — i narażali życie. Mój dziadek był pełnomocnikiem rządu na powiat świdnicki. Mama opowiadała ile razy strzelali do niego, ile razy musiał wiać. A on nie chodził z bronią i robił swoje.

— No więc widzisz — Tomek znów mówił pewnym głosem — nie dla wszystkich forsa jest najważniejsza i nie dla wszystkich uczucia to bzdura.

— To było dawno i nieprawda! — krzyknął Szef wściekły, że ktoś ośmiela mu się sprzeciwiać. — Nie żyjemy w czterdziestym piątym roku i dziś jest zupełnie inaczej.

Tomek zamilkł. No tak, teraz są zupełnie inne czasy. Ludzie zarabiają, sprawiają sobie meble, telewizory, urządzają się. Nie wiedział, co odpowiedzieć Kazkowi, ale instynktownie czuł, że tamten nie ma racji. Chłopcy czekali niespokojnie na wynik sporu między Szefem a Eleganckim. O, ten nowy tak łatwo nie ustąpi, ma swoje zdanie, którego potrafi bronić.

Ale Tomek milczał. I wtedy odezwała się Ewa:

— A ospa? — powiedziała cicho.

— Co ospa? — skoczył Szef.

— Nie pamiętacie, jak wtedy zachowywali się lekarze, pielęgniarki, zwykli ludzie? Jak pomagali jeden drugiemu, opiekowali się dziećmi, których rodzice poszli na kwarantannę?

Tomek spojrzał z wdzięcznością na Ewę. Że też on zapomniał o epidemii ospy we Wrocławiu.

— No widzicie — powiedział — okazuje się, że jednak ludzie potrafią coś robić za darmo, dla idei. Na co dzień są zwyczajni, pracują, kłócą się, nawet kradną i oszukują, ale jak przychodzi czas takiej próby jak wtedy, kiedy wybuchła epidemia, coś się w nich zmienia. I potrafią być inni, lepsi, szlachetniejsi...

— Baj, Baju, będziesz w raju — powiedział nagle Misiek. — To wszystko jest mowa-trawa. I ja mam w nosie takie sprawy. Ciekaw jestem, czy z twojego gadania urodzi się obiad albo fajki? Jak mój stary wraca na bańce i przestawia w domu wszystkie meble, to nie ma szlachetnych i odważnych. Nikt się nie odzywa. Ospa, powiadacie. Dobra, ospa była, minęła i cześć. A jak mój stary bił matkę tu na podwórku, wszyscy szybko zamykali okna, bo bali się, żeby ich kto na świadka nie podał. Nie zawracaj głowy, Elegancki, takie gadki to dobre w szkole albo na akademii, ale nie tu. I Misiek wyjąwszy papierosa zapalił i dmuchnął dymem prosto w Tomkowy nos.

— Dobrze gada — podskoczył Saksofon — wtedy było co innego, a teraz jest co innego.

— I to racja — zgodził się Lampa.

— Widzisz — powiedział Szef.

Tomek obrócił się na pięcie i poszedł do domu. Idąc po schodach rozmyślał: „Jak to może być, że i ja mam rację i Misiek? Czyja racja jest ważniejsza?"

Westchnął głęboko przekręcając klucz w zamku. Strasznie trudno żyć na świecie.

Cdn.

Rys. St. Rozwadowski

Nasz jeden dzień...

...to kryptonim wielkiej, międzynarodowej akcji, w której wzięli udział pionierzy ze Związku Radzieckiego, NRD, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, no i nasi czytelnicy, z Polski.

Przypominamy, bo to już było dawno, że zadaniem uczestników tej akcji było opisać w liście do swojej redakcji dowolne wydarzenie z życia swojej miejscowości. Wydarzenie, które miało miejsce w jednym dniu: 29 marca 1967 roku.

W maju wydrukowaliśmy listy naszych czytelników z Polski. A dziś oddajemy głos waszym kolegom z innych państw.

FABRYKA NA NAS CZEKA

Z ZAŁOGĄ Fabryki Urządzeń Maszynowych przyjaźnimy się już kilka lat. Tam pracuje nasz drużynowy Sasza Salej. Początkowo był on tokarzem, a teraz został kierownikiem oddziału.

W tym dniu byliśmy z wizytą w „naszej" fabryce. Dużo się tam zmieniło w ciągu roku. Pobudowano nowe, wielkie hale. Wszędzie dużo kwiatów i zieleni. Za bramą fabryczną, na betonowym dziedzińcu aż gęsto od rowerów i motocykli. To robotnicy dojeżdżają nimi z bardziej odległych dzielnic miasta i pobliskich wiosek.

W mechanicznym oddziale rozmawialiśmy z Wiktorem Iwanowem.

— To dobrze, że interesujecie się pracą w naszej fabryce — powiedział. — Podrośniecie, przychodźcie do nas pracować — zapraszał. — Nam potrzeba młodych rąk do pracy. Tylko trzeba dużo umieć. Z każdym rokiem więcej.

NATASZA LESZIK
Baranowicze, ZSRR

CUD — DRZEWO

● Nasze drzewo jest zupełnie niezwykłe. A rośnie w naszym sadzie, pod naszą, pionierską opieką. O tym drzewie wam opowiem.

Z pierwszym, ciepłym, wiosennym dniem zakwita jedna gałąź. Potem — druga, trzecia... Zanim w kolejności zakwitnie ostatnia, na pierwszej, najniższej już zaczynają dojrzewać jabłka. Na każdej gałęzi są inne: czerwone, żółte, pomarańczowe. I w smaku są różne. Pierwsze dojrzewają z początkiem lata, ostatnie — późną jesienią, tuż przed pierwszymi przymrozkami. A sekretu żadnego w tym nie ma. Myśmy zaszczepili na jednej jabłoni 17 rozmaitych gatunków. W tym roku zaszczepimy jeszcze 50 innych drzewek. Tyle, ile lat liczy nasza Ojczyzna.

Drzewo-cud to nasz prezent na 50 rocznicę Rewolucji Październikowej.

TONIA LIESZCZUKOWA
Krasnowodsk
ZSRR
Foto: Wiktor Krasowski, ZSRR, Zaporoże

NIGDY SIĘ TYLE NIE BUDOWAŁO

● Wczesnym rankiem nasz zastęp pionierski wyruszył na niecodzienną wycieczkę. Wycieczkę po mieście. Zaczęliśmy od złożenia wizyty budowlanym.

— Dzień dobry! — powitaliśmy brygadę. — Co u was ciekawego?

— Dzisiaj daliśmy już na fundamenty 25 ton betonu. — odpowiedział brygadzista. — Spieszymy się, żeby szkoła była na wrzesień gotowa.

W centrum miasta wznosi się wielki dom. Tam zastaliśmy przy pracy malarzy. Ten dom będzie oddany jeszcze wcześniej niż szkoła. Wiele rodzin z niecierpliwością czeka, żeby się wprowadzić do nowych mieszkań. Jedna pionierka z naszej drużyny też będzie tam mieszkała.

Nigdy jeszcze w naszym mieście nie budowano tyle domów co tego roku.

TONKA STOJANOWA
Bułgaria
szk. im. Georgija Kirkowa
Dulowo

RAZEM Z RODZICAMI NAPRAWIALIIŚMY DROGĘ

● Strasznie to wszystkich denerwowało. Wszyscy też stale narzekali, że tyle błota nanosi się do szkoły. Ale jak mogło być inaczej, kiedy cała ulica była rozkopana już drugi rok. I właśnie dzisiaj przyszli nasi rodzice i zabrali się do roboty. A jeśli oni pracowali, to czy mogliśmy się patrzeć z założonymi rękoma?

Teraz z pewnością, za parę dni, ulica będzie wyłożona płytami, a w szkole będzie czysto.

EWA VANISOVA
Halice I
CSRS

URODZINY

● Jutro dzień moich urodzin. Pomogłam więc mamie piec ciasto. Przyjdą koleżanki. Trzeba się przygotować.

Potem poszłam na Plac Aleksandra w centrum miasta. Tam buduje się wysoką wieżę telewizyjną. Ma już chyba 200 metrów albo więcej. Jak baszta będzie gotowa, wjadę windą na sam szczyt. Nigdy jeszcze z takiej wysokości nie patrzyłam na swoje miasto.

S. PETERS Berlin — NRD

ŻEBY W WIOSCE BYŁO ŁADNIEJ

● Moja wioska jest położona przy autostradzie Adżud-Tyrzy-Okna.

W miejscu dawnych kurnych chat wznoszą się nowoczesne domy. W każdym domu jest elektryczne światło.

Tego dnia wyszliśmy całą klasą sadzić drzewa wzdłuż drogi prowadzącej do wioski od autostrady. Praca poszła nam szybko i tak się spodobała, że wysadziliśmy wioskimi topolami jeszcze jedną drogę, a nawet trochę ją naprawiliśmy, żeby nawet po deszczu można było przejść suchą nogą.

Zrobimy wszystko, żeby nasza wioska była jeszcze ładniejsza.

HELENA TODERYKE
Rumunia
Trutoszka Dolina

Notesy i długopisy!

● Ogłaszając międzynarodową akcję pt. „Nasz Jeden Dzień" podaliśmy, iż autorzy wyróżnionych korespondencji otrzymają od naczelnego redaktora naszej gazety notesy wraz z długopisami.

Nagrody otrzymują: **Anna Sadowska** — Pierzchowice; **Adam Tomaszewski** — Kraków; **Elżbieta Podoska** — Gdańsk; **Jacek Kalinowski** — Skupowo 58; **Anna Ruszczyńska** — Lewiski 8; **Antoni Najdziński** — Goliszów 21; **Zofia Kruża** — Tczew; **Danuta Adamczewska** — Poznań.

Naszym wyróżnionym korespondentom nagrody prześlemy pocztą.

Białe kubeczki jeszcze puste, ale kiedy harcerze znajdą się w lesie, kubki szybko napełnią się jagodami, a przesypane do tubinek powędrują w daleki świat.

OBÓZ HUFCA ZHP z Grajewa rozbił swoje namioty nad Jeziorem Rajgrodzkim. Wokół rozciągają się lasy, a w nich jest pełno jagód i grzybów. Harcerze biorą więc udział w akcji „Złotego Runa". Samych czarnych jagód zamierzają uzbierać ponad 100 kg.

Dziewczęta i chłopcy z Grajewa postanowili też zbudować nad jeziorem małą przystań wodną. Naukę pływania będzie prowadził nauczyciel wf ze Szczuczyna, pan Jerzy Mołczanowski. Grajewscy harcerze zorganizują również wakacyjne przedszkole dla dzieci z sąsiednich wiosek.

W porcie gdyńskim aż czarno od jagód i żółto od grzybów — kurek. Owoce leśnego runa eksportujemy do wielu krajów Europy zachodniej. Obecnie trwa załadunek 160 ton grzybów i jagód na holenderski jagodowiec „Frigomare". Akcja „Złotego Runa" trwa! (ag)

Foto: A. Grzybowiecka i CAF

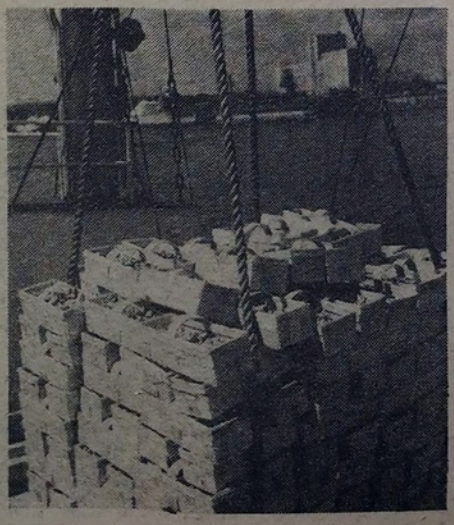

PO ZŁOTE RUNO

wioska BOCIANÓW

Nikt nie potrafi wytłumaczyć dlaczego bociany tak upodobały sobie Polkajny. Niektórzy twierdzą, że okolice wyjątkowo obfitują w żaby. Ale z drugiej strony, jezior a więc i żab nie brakuje w całym województwie olsztyńskim.

SĄ RÓŻNE, ciekawe i dziwne miejscowości: niektóre słyną z uroków przyrody, inne z zabytkowych budowli lub sławnych ludzi. Polkajny swoją popularność zawdzięczają... bocianom. Wioska jest niewielka, liczy zaledwie 16 gospodarstw.

Przyjechałem do „Bocianowa" — jak nazywają tu w okolicy bocianią wioskę — z przyjacielem, dziennikarzem z Olsztyna. To, co zobaczyliśmy na miejscu, przeszło nasze oczekiwania. Nie spotkaliśmy ani jednego gospodarstwa bez bocianiego gniazda, a u pana Michała Drozda naliczyliśmy aż cztery.

— To u was więcej bocianów niż ludzi — zażartowaliśmy sobie, nie przypuszczając, że rzeczywiście będziemy mieli rację. Dla ścisłości, chłopcy: Franek Ozga i Michał Tomasz oblecieli całą wieś i policzyli wszystkie gniazda. Okazało się, że w Polkajnach mieszka aż 19 bocianich rodzin.

Mieszkańcy wsi opowiedzieli nam swoje perypetie ze skrzydlatymi przyjaciółmi. Najwięcej „drak" odbywa się tu na wiosnę, kiedy bociany wracają z zimowych pieleszy w Afryce. We wsi trwają wówczas prawdziwe wojny o gniazda. Na porządku dziennym są także kradzieże „budulca". Jedna bocianią rodzina podkrada drugiej gałązki znoszone cierpliwie na budowę gniazda. Ludzie z ciekawością przyglądają się tym waśniom i nieporozumieniom, ale często muszą również interweniować, gdy np. bocianią para rozpoczyna wić gniazdo na kominie. W tym roku jedna z par upatrzyła sobie komin w budynku szkolnym.

— Mówię panom co za uparciuchy z tych bocianów — opowiada kierowniczka szkoły, pani Katarzyna Wasilewska. — Zrzuciliśmy im gałęzie z komina, bo nie mogłam palić w kuchni, a one znowu zaczęły je znosić. Zabawa ta trwała bardzo długo, chyba z 10 razy psuliśmy gniazdo, aż w końcu bociany zrezygnowały ze swoich pierwotnych planów i rozpoczęły budowę w innym miejscu.

Ale w Polkajnach lubią swoich sezonowych mieszkańców. Bocianie gniazda zrosły się na zawsze z zabudowaniami gospodarskimi.

Kiedy nadchodzi druga połowa sierpnia, w bocianich rodzinach zaczyna się wyczuwać podniecenie i niepokój. Odwieczny instynkt każe im przygotowywać się do dalekiej drogi na południe. Na łące koło wsi odbywają się wówczas długie „narady". Nikt z ludzi nie wie, o czym się „dyskutuje" na tych bocianich zlotach, chociaż ludzie mówią, że ptaki wybierają króla albo przewodnika, który ma zaprowadzić całe stado do Afryki.

Do dziś pozostaje nie wyjaśniona zagadka, w jaki sposób ptaki, które na zimę odlatują do „ciepłych krajów", potrafią znaleźć właściwy kierunek. Czy drogę wskazuje im słońce, gwiazdy, czy pole magnetyczne ziemi? — dokładnie nie wiadomo. Jest to tym bardziej zadziwiające, że poszczególne gatunki ptaków mają swoje utarte i niezmienne szlaki wędrówek. Bociany np. odlatują do Afryki kierując się albo na cieśninę Bosfor albo na Gibraltar. Są to, o dziwo, drogi najbezpieczniejsze, bo przeloty nad morzem są najkrótsze. Ale skąd o tym wiedzą bociany, pozostaje tajemnicą.

Jedno z najpiękniejszych gniazd znajduje się na uschniętym drzewie stojącym pośrodku wsi. Długo musiałem czatować z obiektywem na ten ciekawy moment „startu" bocianiej mamy.

Tekst i zdjęcia:
ST. BOROWIECKI

PIERWSZE POJAZDY

Samobieżny ciągnik artyleryjski Józefa Cugnota.

JAK PODAJE „Mała Encyklopedia Powszechna" samochód jest to bezszynowy pojazd na trzech, czterech albo więcej kołach lub na gąsienicach, napędzany własnym silnikiem.

Pierwszym prototypem samochodu był artyleryjski ciągnik, francuskiego konstruktora Józefa Cugnota. Ta machina ukazała się na ulicach Paryża w roku 1770, wzbudzając wielką sensację. Ciągnik posiadał z przodu wielki kocioł z parą, która napędzała przednie koło. Jak podają kroniki, ta pierwsza próbna jazda zakończyła się katastrofą. Samobieżny pojazd, buchając parą, uderzył na najbliższym zakręcie w mur i rozbił się doszczętnie.

O wiele przyjemniejsze, szczególnie dla kierowców, były pierwsze próby z samobieżnymi pojazdami skonstruowanymi w roku 1885 i 1886, przez dwóch inżynierów niemieckich: Daimlera i Benza. Te pojazdy, zaopatrzone już w silniki spalinowe, poruszały się z wielką gracją i osiągały szybkość dochodzącą do 40 km/godz. Te właśnie bezszynowe pojazdy uważane są za pierwsze samochody na świecie. (zp)

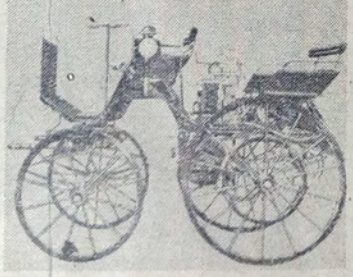

Samochód inż. Benza z roku 1885.

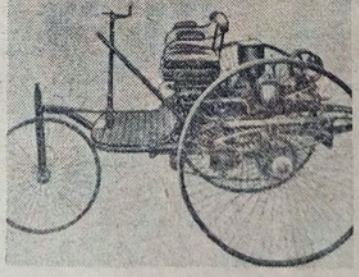

Samochód inż. Daimlera z roku 1886.

Tak wyglądał pierwszy samochód wyścigowy sprzed 60 lat.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 966. T-50

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24